

KORNEL MAKUSZYŃSKI



Szaleństwa panny Ewy

Nasza Księgarnia

Kornel Makuszyński

Szaleństwa
panny Ewy

Korneł Makuszyński

**Szaleństwa
panny Ewy**

Nasza Księgarnia

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1994

Projekt graficzny serii
Maciej Szymanowicz

Ilustracja na okładce
Maciej Szymanowicz

Rozdział pierwszy, w którym autor jest zdumiony i przerażony, albowiem stał się współnikiem niezliczonych zbrodni

Ja, Kornel Makuszyński, nieszczęsny autor „Panny z mokrą głową” i posępny autor „Awantury o Basię”, siedziałem spokojnie w zacisznej komnacie, rozmyślając nad jedną jeszcze powieścią dla „dorastających panienek”. Jest to sprawa wymagająca niezmiernego wysiłku ducha. Uczeni wiedzą, co się dzieje na Marsie, jakie minerały znajdują się na Księżycu, jaka jest temperatura Słońca i ile waży Ziemia. Wiedzą filozofowie, co się odbywa w ludzkiej duszy i dlaczego człowiekowi śni się właśnie kobieta z długą brodą, a nie piec grający na harfie. Największy jednak uczoney, najstynniejszy nawet filozof nigdy nie wiedział, nie wie i nie będzie wiedzieć do skończenia świata, co się dzieje w kolorowej duszy „dorastającej panny”. Jest to niezgłębiona tajemnica.

Miałem przeto głowę w chmurach zadumy i od czasu do czasu wydawałem siedmiozgłoskowe westchnienia. Na biurku leżały białe, niezapisane karty papieru, a potężny kałamarz, nalany po brzegi, czekał cierpliwie i czarnym okiem spoglądał, czy pióro jak bocian zanurzy w nim dziób. Czekałem na tę wspaniałą chwilę, w której z udręczonej mojej głowy wyskoczy „dorastająca panienka” jak Pallas Atena z dostojnej, kędzierzawej i brodatej głowy Zeusa.

Zamiast „dorastającej panienki” wtoczyła się do mojej komnaty niewiasta służebna, nosząca przedziwnie wonne imię Narcyza. Powiedziałem „wtoczyła się” i nie cofnę tego słowa. Narcyza tym tylko różniła się od armaty, że sama zajeżdżała na pozycję, bez pomocy trzech par tęgich artyleryjskich rumaków. Poza tym miała wygląd burzącego działa, głos potężnej kolubryny i jej straszliwe zwyczaje. Na jej widok uleciały myśli krążące nad moją biedną głową jak złote pszczoły, a cisza skuliła się w kącie jak przerażony pies. Nigdy imię złożone z pięciu śnieżystych płatków i złotego oka nie zostało nadane z większą lekkomyślnością. Kobieta ta powinna nosić imię wulkanu, a nie kwiatka.

Spojrzała na mnie z wysoka i rzekła głosem tak czarnym, że smoła kapłała z niego ciężkimi kroplami na prawie perski dywan:

– Przyszła jakaś taka i takie coś...

Każdy inny, nieznający przedziwnych obyczajów tej armaty, niecierpliwymi pytaniami otworzyłby bramę piekła i wyzwoliłby najmniej siedmiu ogoniastych szatanów. Z tą lubą istotą należało postępować oględnie, ze wzniosłym spokojem, z beznamiętną cierpliwością i z wyrozumiałością mędrca, albowiem luba istota czekała pożądliwie okazji do piekielnej awantury. Należy wiedzieć o tym, że jej wroga i zuchwała postawa wobec świata i wszystkiego, co żywe, pochodziła z bolesnej udręki i ciężkiego zawodu. Od owego dnia gniewu i klęski, w którym wierna przyjaciółka „odbiła” jej narzeczonego, dusza rzewnej i tkliwej Narcyzy obrosta kolcami jako jeź. Szczególną nienawiść poczęła żywić do wszelkiego stworzenia rodzaju żeńskiego. Znając te piekielne tajemnice, wiodłem z nią dialog nie jak z ciężką armatą, lecz jak z niewinnym ptaszkiem. Usłyszawszy przeto przedziwną, czarną i niechętną wieść o tym, że „przyszła jakaś taka z takim czymś!” – pojąłem w lot, iż mowa jest o rodzaju żeńskim. Pan Bóg – na szczęście – nie odmówił mi bystrości.

– Ach? – rzekłem dobrotliwie. – Jakaś taka?...

– Przecie mówię po polsku! – odrzekła hardo armata i spojrziała na mnie posepnie.

– Tak, tak, rozumiem... Jakaś pani?

Osoba, którą w niezrozumiałym szaleństwie nazwano Narcyzą, wzruszyła ramionami, dając mi tym ruchem pogardliwie do poznania, że bystrość moja niewiele się różni od zdumiewającej bystrości pieca albo szafy.

– Aha, więc nie pani – mówiłem szybko, ze słodkim akcentem pojednania. – Któż to mógł przyjść? Skoro nie pani...

– Pannica! – zawołała ona głosem rozdierającym.

– Patrzcie, patrzcie! – mówiłem w wybornie udanym zdumieniu.

Mąż niecierpliwy i nieznający zawitych zagadek życia byłby chwycił strzelbę i dwoma strzałami zakatrupił lubą Narcyzę, tym by się to jednakże skończyło, że dwie kule odbiłyby się od niej jak od hipopotama, ona zaś zabiłaby niedoświadczonego człowieka jednym potężnym spojrzeniem.

Rzekłem przeto z uśmiechem należycie tkliwym:

– Narcyza była łaskawa wspomnieć coś o tym, że ta panna przyszła z kimś jeszcze...

– Z nikim nie przyszła – odrzekła ponuro.

– Ej, a mnie się coś zdaje, wedle tego, co słyszałem, że z tą panną ktoś przyszedł!

– Bo przyszedł!

Wzniostem spojrzenie ku niebu i wezwałem je na świadka mojej niewinnej męczarni. Zdawało mi się, że ujrzałem anioła dającego mi rozpaczliwe znaki, abym cierpiał, bo jeśli wdam się w bój z Narcyzą, sam przed wyznaczonym mi czasem znajdę się pośród aniołów. Zazgrzytałem przeto łagodnie zębami, lecz roztropnie uciszyłem serce, które chciało zawyć rozszrożonym głosem tygrysa.

– Więc któż to przyszedł? – zapytałem takim głosem, którym płacze wiolonczela. – Jakiś pan?

– Żaden pan! – zakrzyknęła armata.

Coś w niej jednak musiało zelżeć albo też moja przebrana słodycz musnęła jej twarde i zapiekłe serce, bo w przepaścistych oczach tej rzewnej kobiety dojrzałem cień cienia litości. Pytałem przeto czym prędeej:

– Skoro nie pan, więc kto?

– Pies! – odrzekła mi z niezmierną męką. I aby mnie nie wtórczyć wśród mgieł niepewności, dodała ze śmiertelną powagą: – Pannica czupiradło, a pies pokraka!

Widać, że jej ulżył cokolwiek ten okrzyk, ale nie na długo.

Odważyłem się na ciche pytanie:

– Czy Narcyza nie wie przypadkiem, czego chce ta panienka z psem?

Ona spojrzała na mnie z politowaniem i zagrzmiała głucho:

– A skąd ja mam o tym wiedzieć?!

Tak uderzyła w słówko „ja”, jak właśnie piorun uderza w uschtę drzewo.

– Dobrze, już dobrze! – powiedziałem szybko. – Istotnie, skąd Narcyza mogłaby o tym wiedzieć... Ludzie sami czasem nie wiedzą, po co przychodzą. A gdzież jest ta panienka?

– Siedzi w przedpokoju i gwizdże! – ogłosiła Narcyza z boleścią w głosie.

– Gwizdże? Dlaczegoż ona gwizdże?

– Teraz wszystkie takie! – rzekła ona głosem zwęglonym. – Co z nią zrobić? Może by tak na łeb ze schodów!

– Ależ, Narcyzo! Jakżeż można?! Dowiemy się, czego chce...

Powiedziałem z szatańską chytrnością, że „dowiemy się”, niebezpieczne bowiem byłoby użycie liczby pojedynczej. Straszliwa ryba połknęła przynętę z wrodzonej ciekawości, którą i tak

zresztą zaspokoi w sposób należyty i niewymyślny, gdyż będzie podsłuchiwała z czujną wprawą.

Powiedziała jednak z rezygnacją:

– Jak pan chce! Ja bym z taką osobą nie gadała...

Obróciła się na osi i powoli zjechała z pozycji. Przed nią szła groza, za nią szło przerażenie. Moja komnata stała się po jej wyjściu obszerniejsza i bardziej widna.

Z przedpokoju słyhać było dwa splątane głosy: jeden cienki jak jedwabna nitka i drugi gruby jak lina okrętowa. Jeden był śpiewaniem słowika, drugi głuchym pomrukiem rozszalonego wulkanu. Potem drzwi otwarty się gwałtownie i obłąkanym pędem wpadł przez nie pies. Nie, to zbyt wiele powiedziane! To nie był pies... Można było za Słowackim i Odyńcem zakrzyknąć w zdumieniu: „Czy to pies, czy to bies!”. Był to przedziwny stwór przyrody, której coś musiało uderzyć na rozum w chwili stwarzania tej kreatury. Miał on cztery krótkie, krzywe łapy i haniebnie kosmaty ogon, z czego można było sądzić, że to jednak pies. Gdyby posiadał urzędowy rodowód, napisano by w nim: „syn jamnika i kana-py”. Kreatura pokryta była ostrą sierścią dobrze urodzonej kozy, a oczy jej – mądre, sprytne, małe i wesole – pożyczone były od świni. Posiadała tylko jedno ucho całe i obwisłe, drugie bowiem było marną pozostałością po jakiejś krwawej walce. Zwierzak ten na pierwsze spojrzenie, pomimo swej diabelskiej urody, wyglądał sympatycznie. Długi, niski, śmiesznie kosmaty, a tak zabłocony, jak gdyby brzuchem czyścił ulice, śmignął przez drzwi, obiegnął pokój i zwinnym susem wskoczył na fotel. Wybrał, oczywiście, stary, stylowy fotel, przepięknym pokryty materiałem. Gwałtowne oburzenie tak mną zatrzęsło, jak czasem urwipoteć trzęsie jabłonią obsypaną jabłkami. Chwyciłem nożyk do rozcinania kartek i grożąc nim zuchwałemu psu, krzyknąłem z należytą pasją:

– Kundlu, precz z tego fotela!

Kundel ani drgnął, tytnął jedynie lewym świńskim okiem i wyraźnie był ubawiony. Równocześnie ozwał się cienki, gniewem powleczonego głos:

– Czemu się pan znęca nad moim psem?

Mordercze narzędzie wypadło z mej ręki. Pomiedzy moim słusznym gniewem i tą lichą imitacją psa stanęła osoba rodzaju żeńskiego i rozkrzyżowała żeńskie ramiona. Miała piętnaście albo szesnaście lat, płowe włosy, roziskrzzone oczy, po których latały złote błyski, i zadarty nosek, po którym nic nie latało. Ani brzydka, ani ładna, ale smukła, gibka, zgrabna i zapewne silna. Na gołych nogach, tak opalonych, jak gdyby były posmarowane czekoladą, widniały liczne ślady zadrapań i stłuczeń. Przebiegła mi przez zdumioną głowę myśl, że ta pannica chodzi po ziemi jedynie w niedzielę i wielkie święta, w dniu zaś powszednie łązi po drzewach albo przedziera się przez ciernie. Nie mogłem zajrzeć jej do ust, mógłbym jednak przysiąc, że jej brak kilku zębów, wybitych w nagłym zetknięciu się z jakimś płotem. Bynajmniej by mnie nie zdziwiło, gdyby osoba wjechała była do mojego domu konno, siedząc na oklep. Jaki pies, taka pani... Dobrana para... Pannica zuchwała, a pies opryszek. A nad tym psem – ja się znęcam! Powiedziałem twardo:

– Niech pani powie swojemu psu, aby natychmiast zlązł z fotela!

– Dobrze, dobrze, proszę pana! – odrzekła wesoło. – Nic się takiego nie stało. Rolly! Bądź łaskaw zejść...

Kreatura zwie się Rolly!

Kreatura zsunęła się niechętnie i, wrogo na mnie spojrzawszy, ułożyła się na dywanie.

Sprawa z psem była jako tako załatwiona, czekało mnie jednak gorsze przejście z „zadartym nosem”. Jestem człowiekiem niepospolicie spokojnym i opanowanym, jak gdyby mnie w mło-

dości trzymano na lodzie, z trwogą przeto myślałem o tym, że zostałem osaczony i że będę się musiał bronić jak dzik w leśnym ostępie. Spojrzałem na panienkę spode łba i w tejże chwili poczułem gniew: panienka patrzyła na tragiczną moją dostojność ze ślicznym uśmiechem, który wyrastał z dwóch dotęczków na zuchwałym jej obliczu. Pannica raczej brzydka, a uśmiech naprawdę prześliczny i jakiś taki miękki, tkliwy i czuły, jakim się poranne, wiosenne uśmiecha słońce. Niemądre moje serce już się chciało uśmiechnąć do tego uśmiechu, lecz w sam czas powstrzymałem je groźnym napomnieniem. Ja nie dam się oszukać tak łatwo... Za stary jestem wróbel na takie złociste plewy. Nie, moja panienko! Znam te zgoła diabelskie sztuki, którymi osoba rodzaju żeńskiego, mająca nawet lat szesnaście (i psa), umie zwieść nawet mędrca. Za takim uśmiechem kryć się może przemyślny podstęp i misterne szalbierstwo. Cygan nie ocygani tak Cygana, jak to snadnie i bez najmniejszego trudu może uczynić figlarna osoba mająca w twarzy dwa dotęczki.

Najeżyłem się jak jeź i rzekłem głosem suchym jak pieprz:

– Czemu się pani śmieje?

– Bo mi bardzo wesoło, proszę pana! – odrzekł „zadarty nos”.

Nawet w gniewie nie mogłem odmówić słuszności tym słowom, z których każde było radosnym wykrzyknikiem. Postanowiłem jednak, że będę nieustępliwy i zmienię każde moje słowo w ostry sopel lodu. Zanim jednak zdołałem je zamrozić, panienka z niebywałą i podejrzaną zręcznością zmieniła tonację i powłóktszy głos warstwą smutku, powiedziała, patrząc mi prosto w oczy:

– Czy pan się na mnie gniewa?

Zacząłem się zastanawiać, czy się gniewam.

– Bo jeśli się pan gniewa, to ja sobie pójdę. Ale przedtem się rozplączę! A skoro ja beknę, to się tu zleci cały dom.

– Niech pani nie płacze! Wcale się nie gniewam... Trochę mnie ten pies wyprowadził z równowagi, ale już przeszło...

Otóż to! Nie mogła uśmiechem, pokonała mnie groźbą łez, a ludzkości wiadomo przecie, co w tym zakresie potrafi szesnastoletnia dama, która ma zadarty nos (i psa). Tego tylko jeszcze potrzeba, aby ten kundel pomógł jej w koncercie. Poddałem się – o boleści! – i pragnąc zachować pozory, rzekłem niby niefrasobliwie:

– Jak się ta psina nazywa? Rolly? Czemu tak z angielska?

Panienka wyźłobiła od razu dwa dołeczki, błysnęła oczami złościście i powiada:

– Ten ogoniasty nazywa się Rolly tylko na wizycie! Na co dzień zwie się Rolmops. Czy pan wie, co to takiego? Jest to śledź zwinięty w kłębek, nadziany cebulą i przekłuty patyczkiem, aby się nie rozwinął. Ogoniasty, gdy śpi, bardzo jest podobny do rolmopsa. Niech pan spojrz!

Ogoniasty zwinął się w kłębek i zapadł w sen, czasem tylko, usłyszawszy swoje fałszywe imię, łypnął świńskim okiem.

Wyznanie to obudziło na nowo moją zasypiającą czujność. Nie podobało mi się to niewinne na pozór szalbierstwo z imieniem kosmatego indywiduum. Wprawdzie panienki mają przedziwny zwyczaj przekręcania własnych imion, wskutek czego Petronela w metryce zowie się na użytek domowy Kizia, a Magdalena – Dolly, jednakże niepojęty ten proceder nie był nigdy dotąd zażywany wobec psiego pokolenia. Uczciwemu psu wystarczało jedno niewzruszone psie imię.

Przeniosłem baczne spojrzenie z psa na panienkę, która zdołała już zapomnieć o gadaniu na temat swojego niewydarzonego kundla i z żywością muchy przeniosła się na inny temat.

– Jak tu u pana ładnie! – rzekła, patrząc na ściany zawieszone natłokiem obrazów.

– Tak sobie – bąknąłem.

– Wcale nie „tak sobie”! – zawołał z przekonaniem „zadarty nos”. – Ślicznie jest u pana!

Nagle ją coś poderwało. Zbliżyła się szybko do ściany, na której złocił się i czerwienił, i gorzał żywą purpurą obrazek malarza, który sam był płomieniem gorejącym i zdawało się, że malował płomieniem. Malarz ten od dawna już malował świty i zachody na niebie, bo od dnia jego śmierci niebo było świetniej niż zazwyczaj kolorowe i grało kolorami. Obraz nie był podpisany, panienska zaś wymówiła nazwisko, w którym drżało wzruszenie i tkliwość.

Zdumiało mnie to cokolwiek.

– Widziała pani kiedy jego obrazy?

– Tak. Widziałam dwa, a ten jest trzeci. To był cudowny malarz!

– Mój przyjaciel – rzekłem cicho. – Umarł młodo...

– Ja wiem.

– Skąd pani o tym wie?

– O, ja wiem bardzo wiele o malarzach. Wszystko panu opowiem, ale nie tak od razu. A ten obrazek... Boże miły! Przecie to Zawidzki...

– Tak, to Zawidzki. Ładny, prawda?

– Śliczny, a nie ładny. Przepraszam pana... Czy pan kupił ten obraz?

– Niestety nie. Dostałem go od malarza.

„Zadarty nos” spojrział na mnie jak gdyby z wyrzutem i rzekł niby do siebie:

– Potem się ludzie dziwią, że malarze chodzą bez butów! Niech się pan nie gniewa – dodała głośniejszym głosem – ja właściwie nie do pana to mówię. Malarz i literat to jedna rodzina, więc sobie robią podarunki, chociaż żaden malarz jeszcze w życiu swoim nie przeczytał książki, którą dostał od literata. Czasem nią tylko pali w piecu albo rzuci za psem... Ale innych tobym utłukła w mózdzierzu...

– Kogo na ten przykład?

– Tych wszystkich, co umieją od niemądrego malarza wycygnąć za darmo obraz. Proszę pana! Pan nie ma pojęcia o tym, ile Zawidzki rozdał obrazów!

– Czy być może!

– Może być, skoro ja panu o tym mówię.

– Pani go zna osobiście?

Panienka, rzuciwszy klątwę na wszystkich opryszków krzywdzących malarzy, rozpogodziła się niespodzianie, uśmiechnęła lekko, potem ciężko usiadła w fotelu.

– Czy ja go znam?! Pan skona ze śmiechu, skoro pan się dowie, jak ja go dobrze znam.

– Dlaczegoż mam od razu skonać? – rzekłem ciemnym głosem. – Czy nie mógłbym się o tym wszystkim dowiedzieć za mniejszą cenę?

– Bardzo pana przepraszam, ale mi się tak tylko wyrwało. Ja mam gębę, że nie daj Panie Boże! Ale panu przecież też nic nie brakuje, sądząc po tym, co pan wypisuje.

Czy mnie słuch nie myli? Ponura Narcyza niezbyt się pomyliła, oznajmiając przyjście „pannicy”. Zuchwałość „zadartego nosa” zaczynała przekraczać wszelkie granice przyzwoitości. „Zadarty nos” obrażał mnie na moim własnym terytorium, jednym tchem przypisując mi swoje własne, pyskate właściwości. Do stu tysięcy kosmatych Rolmopsów, mam tego dość! Zadzwonię na Narcyzę, dam jej niewidoczny znak, a „zadarty nos” wraz ze swym paskudnym kundlem rozwieje się we mgle, w czasie i przestrzeni. Straszliwa ta myśl musiała się odbić w moim spojrzeniu, panienka bowiem – znowu z niewypowiedzianą, zuchwałą odwagą! – pogłaskała niespodzianie moją rękę i nie powiedziała, lecz zakwiliła cichutko:

– O, pan się znowu gniewa!

– Bo chciałbym wreszcie wiedzieć – zacząłem twardo i nieuprzejmie, ale nie miałem czasu, aby skończyć.

Oczy panienki zwilgotniały, pociągnęła zadartym nosem trzy razy, a po chwili, jak gdyby przypomniawszy sobie, że trzeba to uczynić do pary – po raz czwarty, złapała się ręką za zuchwałą głowę i zawiodła smętnie, nawet z żałością:

– O ja nieszczęśliwa... Cokolwiek zrobię – wszystko źle, cokolwiek powiem – jeszcze gorzej. Ja się chyba zabiję. Niech się pan nade mną nie lituje! Ja jestem przeklęta przez los i Pan Bóg mnie się wyrzekł...

– Ależ, proszę pani...

– Nie, nie, niech mnie pan nie pociesza. Ja chcę umrzeć!

– Nie tu! – krzyknąłem przerażony.

– A gdzie mam umrzeć? – rzekła ona rozdzierającym głosem.

– Nie mam ani domu, ani nikogo.

– O biedne dziecko!

Tak najpierw zakrzyknęło moje niemądre serce, a potem dopiero ja, co się razem splotło w okrzyk tak żaloszny i rzewny, że panienka z wdzięczności za współczucie położyła głowę na mojej piersi i cienko pochlipywała. Kosmaty kundel, zwiedziony tym ruchem i przekonany, że mam zamiar uduszenia jego umiłowanej pani, począł ujadać jazgotliwie, co musiało z kolei wywołać wilka z lasu, czujnym uchem złowiłem bowiem groźne pomruki Narcyzy za drzwiami.

W gorączkowym pośpiechu szukałem rady w bystrym moim rozumie, lecz rozum nie wiedział, co mi czynić należy. Zapytałem serca – serce było pełne przerażeń. Gdybym zawołał przenikliwie mądrą Narcyzę i ją zapytał o radę, rzekłaby niewątpliwie: „Ją niech pan zabije, a psa niech pan zastrzeli!”.

Trwałem przeto w bezruchu i mimo woli gładziłem ręką głowę tej dziewczyny, która spadła na mój spokój tak właśnie, jak

czasem dachówka spada z dachu na niewinną głowę przechodnia. Trwałem jak posąg w kamiennym niewzruszonym spokoju i bezgłośnie przysięgałem niebu i ziemi, przyrodzie i żywiołom, że póki życia – nie pozwolę wpuścić panienki z zadartym nosem ani panienki, która ma kosmatego psa; ani panienki, która się zna na obrazach; ani takiej, która ma znajomego malarza. Nie ulega wątpliwości, że malarz potrafi zwichnąć rozum najbardziej sprawny i potężny, jakżeż tedy łatwo mógł przyprawić o utratę mizernej piątej klepki nierozważną dziewczynę! Znałem dobrze tego Zawidzkiego, świszczypałę i lekkoducha, i wiedziałem, że dobry pan Bóg niejedną raz zakrywał ręką twarz, nie mogąc patrzeć na jego szaleństwa. Skoro Zawidzki znalazł się w jakiś nieznanym mi sposób na drodze tego dziewczęcia, z wszelką pewnością nikt inny tylko on pomieszał jej rozum i wobec tego dziewczę godne jest litości. Myśląc o tym, tym serdeczniej gładziłem jej głowę, co ją znacznie uspokoiło, spojrzała bowiem na mnie po chwili spojrzeniem wymytnym we łzach i rzekła cichutko:

– O, jaki pan jest dobry, a ty, Rolly, uspokój się, ciężki idioto!

Jeden wykrzyknik wyrósł jak cyprys równocześnie nade mną i nad kundlem, ale już mi było wszystko jedno. Poczęła mnie ogarniać miła i ciepła radość, że panienka u mnie nie wyzionie ducha z boleści i nie zostawi mi w spadku kundla, który by mnie ścigał przez całe życie jak szczekająca kłątwa. Zdołałem już pojąć, że panienka łatwo i bez większego namysłu przerzuca się z nastroju w nastrój, od uśmiechu do łez i z powrotem, co jest niezmiernie zajmujące w teatrze, nigdy w domu; zrozumiałem, że nic mnie już przed nią nie uchroni i będę musiał wytrwać do epilogu tragicznej farsy; wiedziałem niezbitnie, że postępując łagodnie, ustępliwie i z niefrasobliwą na pozór pogodą – jest to metoda z powodzeniem stosowana wobec wariatów – dowiem się wreszcie, dlaczego dachówka spadła mi na głowę.

Wiedziałem już, jak się zowie ogoniasty, nie znałem jednak do-
tąd imienia i nazwiska panienki, a był już chyba czas największy,
abym się o tym dowiedział.

Począłem się zbliżać do tego zagadnienia ostrożnie, nie wie-
dząc, czy panienka, uczyniwszy takie wyznanie, nie położy znowu
głowy na mojej piersi i nie załka, chociaż rozsądne kobiety nie
mają tego zwyczaju, wymawiając swoje nazwisko. Zacząłem tedy
mówić chytrze:

– Bardzo mi smutno, że się pani tak wzruszyła, panno Zosiu!

Liczyłem na to, że zwyczajem rodzimym na dziesięć osób ro-
dzaju żeńskiego jest siedem Zofii.

– Kiedy ja wcale nie jestem Zosia! – zaśmiała się panienka.

– A wolno wiedzieć, jak pani na imię?

– Wolno! Tatuś nazywa mnie Wu, a koleżanki nazywają mnie
Miki...

– A jak mama?

– Ja nie mam matki – rzekła ona cicho. – Moja matka umarła,
kiedy miałam osiem lat.

– Biedactwo – szepnąłem.

Spojrzałem serdecznie i tkliwie na jej twarzyczkę, co nagle
zagasła, dziewczynka zaś podziękowała mi ślicznym, smutnym
uśmiechem.

– Mnie na imię jest Ewa – powiedziała. – A nazywam się Ty-
szowska.

– Tyszowska? Znam to nazwisko. Jest taki głośny lekarz bakte-
riolog...

– To mój ojciec! – zawołała radośnie panna Ewa.

– W takim razie ja znam ojca pani.

– Ależ tak, tak! I ja o tym wiem. Pierwszą książką, którą do-
stałam od ojca, była książka pana. Ojciec często mi mówił o panu.
Pan o tym może wie, że mojego ojca nie ma teraz w Polsce?

- Wiem, bo to głośna sprawa...
- Tak, a teraz ojciec wraca. Wraca za dwa tygodnie.
- No to świetnie!
- To wcale nie świetnie.
- Jakże to? Pani się nie cieszy?
- Czy ja się cieszę? O Boże drogi! Od dwóch dni, od kiedy dostałam wiadomość, zdaje mi się, że oszaleję z radości. Ale, proszę pana, ja się boję...
- Czego? Co się stało?
- Panna Ewa „zrobiła ponurą twarz”.
- Stały się straszne rzeczy. Ojca nie było w kraju przez półtora roku. Pan nie może mieć nawet wyobrażenia o tym, co ja zdołałam zdziałać przez ten czas. O rany! Jeżeli ojciec nie osiwieje, to będzie cud boski. Co ja narobiłam, co ja narobiłam! I ja, i ten pies.
- Cóż pani mogła takiego zrobić? – pytałem zaniepokojony.
- Co ja zrobiłam? Gdyby pan miał włosy na głowie, toby... O, bardzo pana przepraszam...
- Nic nie szkodzi. Kobieto, mów dalej, byle prędzej!
- To się nie da tak od razu powiedzieć. I na wołowej skórze też by nie spisał. I dlatego właśnie przyszłam do pana.
- A cóż ja mam z tym wszystkim wspólnego?
- Niby nic. Pomyślałam sobie jednak tak: ja panu wszystko uczciwie opowiem, a pan mnie obroni przed tatusiem i wszystko mu pan wytłumaczy.
- Ja? Dlaczego ja?
- A któż inny? – odrzekła panienka zdziwionym pytaniem na moje niemądre pytanie. – Przecie pan nas kocha?
- Kogo to: „nas”?
- Wszystkich, co mają jeszcze kielbisek w łbie, więc i mnie. Co pan myśli, że ja nie wiem, jakie rozmaite podlotki pisują do pana listy? My w szkole wszystko wiemy.

– Owszem, pisują i coś z tego?

– To z tego, że pan powinien nas bronić w nieszczęściu i nie pozwolić nikogo skrzywdzić.

Długo byłem spokojny. Długo byłem cierpliwy. W tej chwili jednak ogarnął mnie gniew.

– Cóż ty sobie wyobrażasz, szalona dziewczyno – urągałem nielitościwie – że ja będę z uczciwymi ludźmi toczył wojnę o sto tysięcy podlotków, którym się podobało narobić sto tysięcy głupstw? Cicho bądź, kundlu! – ta apostrofa zwrócona była w stronę Rolmopsa, który niebezpiecznie zawarczał i typtał oczami w moją stronę. – Co sobie panienka wyobraża? Nie wiem – o co idzie, ale nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Niech pani uspokoi tego psa, bo go wyrzucę przez okno!... Skoro panienka nawarzyła piwa, niech je teraz wypije. Może pani kogo zamordowała?

– Nie miałam czym – rzekła ona zuchwale.

– To całe szczęście. Zresztą to wszystko jedno!

Panna Ewa patrzyła na mnie przenikliwie, a równocześnie z uśmiechem nieco drwiącym.

– Pan jest bardzo kochany! – rzekła wreszcie. – Pan niezbyt zręcznie udaje takiego, co się okropnie złości.

– Ja udaję? Wypraszam sobie te poufałości... Oświadczam pani stanowczo, że nie chcę słyszeć o niczym, że nie wezmę udziału w żadnej awanturze i nie zamienię z ojcem pani ani słowa...

– I nie obroni mnie pan przed ludzką złością?

– Nie obronię.

– Ha, to trudno... Rolly, chodź! Bardzo pana przepraszam za najście. Żegnaj pana i niech Bóg ma pana w swojej opiece...

– Żegnaj panią...

– Przepraszam, nie skończyłam jeszcze: panu będzie boska opieka bardzo potrzebna...

– Czemuż to? – mówiłem drwiąco.

– Zaraz panu powiem. Otóż cała młoda Polska dowie się jutro, że pan odmówił opieki i pomocy jednej z tych, wobec których od tyłu lat udaje pan miłość. My panu wierzymy, my w pana wierzymy, my pana kochamy, a kiedy się zdarzyło, że jedna z nas przyszła do pana, aby się wyplakać, pan ją wygnał na mróz...

– Na jaki mróz?! – krzyknęłam w pasji.

– Wszystko jedno. Mrozu nie ma, bo jest lato, ale tak mi się powiedziało. Najpierw jakiś potwór chciał mnie zakatrupić w przedpokoju, a teraz pan szuka, czym ciężkim mógłby we mnie rzucić. I to wszystko za to, że ja do pana jak do rodzzonego ojca... Jutro wszyscy się dowiedzą, jaki pan jest naprawdę. W książkach to nie sztuka, proszę pana... Ale teraz będziemy wiedziały... Rolly, chodź, bo pan Makuszyński jeszcze nas zamorduje.

Ona spojrzała na mnie z wyrzutem, kundel spojrzał na mnie z pogardą i machnął na mnie ogonem. Czułem, że świat się ze mną zakręcił, najpierw w prawo, a gdy się zmęczył, zaczął się kręcić w lewo.

Panna Ewa skłoniła się głęboko i szła ku drzwiom.

– Potworze, stój! – wrzasnąłem przeraźliwie.

Przed oczami udręczonej mojej duszy zaczęła defilować armia stu tysięcy pańienek. Jedne patrzyły na mnie ze zgrozą, inne zakrywały ręką twarz, aby mnie nie widzieć, inne ciężko wzdychały westchnieniem zawodu, a kilka tysięcy krzyczało piskliwymi głosy: „Zdrada, zdrada!”. Uczyniło mi się gorąco. Zimny pot spływał po moim czole. Będę wkopany w ziemię, będę przywalony najcięższym głazem wzgardy.

– Potworze, stój! – powtórzyłem konającym głosem.

Potwór odwrócił się z uśmiechem od drzwi, błysnął białymi zębami, ozłocił głowę uśmiechem i rzekł:

– Strasznie pana kocham!

Potem usiadł i zaczął opowiadać.

Przyszedł nazajutrz i znowu opowiadał. Potwór opowiadał tak długo, że Narcyza usnęła raz pod drzwiami, znudzona podsłuchiwaniem. Ja słuchałem, albowiem miałem pannę Ewę zaślubić własną pierś, gdyby jej szanowny rodzic chciał jej urządzić kęsim za wszystkie zbrodnie i awantury. Od czasu do czasu przykładałem sobie łód do głowy, aby się w niej mózg nie zagotował. Czasem wydawałem nierozumne okrzyki. W ten sposób dowiedziałem się o szaleństwach panny Ewy i spisałem w tej książce.

Nie ma wprawdzie w tej chwili na świecie dwóch większych przyjaciół niżli ona i ja (Rolmops pozostał opryskiem), mam jednak do niej głuchy żal; kiedy się bowiem wybrałem do jej ojca, aby w jej obronie wygłosić taką mowę, jakiej świat dotąd nie słyszał, ten człowiek uściskał mnie i rzekł:

– Ewa opowiedziała mi o wszystkim i niech się pan już nie trudi. To dzielna dziewczyna. Czy napije się pan wina?

– Nie! – odrzekłem. – Ale jeżeli ma pan truciznę...
